

Miłość po szkocku. Podróż po nowe życie. Rok 1967.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniła o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.



Liniowiec Fairstar.

Był majowy, piękny, słoneczny dzień. Stali na nabrzeżu w Southampton, cała szóstka, z zadartymi głowami, w milczeniu. Wielki liniowiec *Fairstar* wznosił się nad nimi białymi piętrami pokładów, na których mrowili się ludzie: bajkowy statek, który miał ich zabrać na koniec świata, do ziemi obiecanej.

Mary wzięła za rękę małą Mandy i ruszyli w kierunku wysokiego trapu: Mary z trzyletnią córeczką przodem, za nimi ośmioletni Alan i dwaj starsi synowie, Brian i William, taszczący wspólnie walizkę, na końcu Gordon przygarbiony pod ciężarem dwóch wielkich waliz. Rodzinka jak z obrazka, w nowiutkich wiosennych płaszczach, Mandy z warkoczykami przewiązаныmi zieloną wstążką, Mary w nowym zielonym kapeluszu. Parli naprzód, zdecydowani pokonać wszelkie przeszkody.

Na pokładzie skierowano ich do olbrzymiego („jak sala balowa”, pomyślała Mary) foyer wypełnionego tłumem podróżnych. Stewardzi, przystojni Włosi, krążyli wśród podróżnych jak pszczoły dookoła miodu. Przez głośniki wywoływano jakieś nazwiska. Ludzie śmiali się, płakali, dzieci szalały pod nogami i między walizkami. Dłuższy czas Grantowie czekali, aż wywołano ich nazwisko. Młody steward poprowadził ich w dół, korytarzami, do kabiny. Ulokowano ich w pomieszczeniu podzielonym przepierzeniem: łóżka dla dzieci ustawione były piętrowo w jednej części, dwa łóżka dla rodziców - w przejściu do łazienki. Łazienka była maciupka, ale był tam prysznic, sedes i umywalka. Ogólnie, było to całkiem przytulne, miłe pomieszczenie. Co najważniejsze, byli wszyscy razem. Mary odczuła ulgę, bo cały czas obawiała się, że Gordon będzie musiał mieszkać gdzieś na osobnej sali dla mężczyzn. Właśnie tak podróżował do Australii jej brat Charlie kilka lat wcześniej. Na samą myśl o tym cierpła jej skóra na grzbiecie: sama w obcym otoczeniu z czwórką dzieci! (...)

Na nabrzeżu szkocka orkiestra grała *Will ye no come back again*. Stali przy relingu. Ludzie dookoła płakali i machali rękami do odprowadzających, a pasek wody oddzielającej ich od ojczyzny powoli się poszerzał.

Grantowie nie szukali wzrokiem na nabrzeżu żadnej twarzy, bo cała ich dalsza rodzina pożegnała ich na Kirkcaldy Station trzy dni wcześniej, ale Mary i tak czuła łzy w oczach. I - jak wszyscy - Mary, Mandy, chłopcy i Gordon machali rękami do tych na nabrzeżu, a orkiestra grała *Auld Lang Syne*. Mary pomyślała: *Czego tu płakać! Przecież ja tu jeszcze wrócę*. Gordon objął ją ramieniem i wiedziała, że to, co zostawiają za sobą, jest mniej ważne niż to, co ich czeka. A we Fremantle będą ich witać najbliżsi: jej matka, siostra, brat i ojczym, wszyscy szczęśliwie zakorzenieni już na nowym lądzie. Charlie, brat, wyjechał do Australii pierwszy, zaraz po powrocie z wojska. Lata sześćdziesiąte były trudne na Wyspach Brytyjskich i Charlie nie mógł znaleźć pracy, a w Australii pracy było w bród. Jechał tam z kontraktem w kieszeni. (...)

Zatoka Biskajska, która - jak im mówiono - zawsze była wzburzona, tego majowego dnia lśniła jak lustro. *Fairstar* sunął po srebrnej powierzchni marszczony lekkimi falami, a na górnym pokładzie zastawionym leżakami kłębili się ludzie. (...)

Myśl o wojnie nie opuszczała jej. Nawet kiedy przepływali przez Gibraltar, tak blisko słynnej skały, że widać było małpki skaczące po drzewach, nawet wtedy Mary nie mogła się uwolnić od tego niepokoju. Stała na pokładzie pod wysokim, pogodnym śródziemnomorskim niebem i myślała, że płynie po tym samym morzu, w którym Niemcy omal nie utopili Jana. To było gdzieś w tych okolicach, w 1942, dwunastego listopada (tę datę Mary dobrze pamięta, bo później, dokładnie w którąś tam rocznicę tego dnia urodziła się jej siostra Sandra). Jan pływał wtedy na polskim okręcie „Dragon”. Miał tam przyjaciela, Stefana. Stefan pochodził z Warszawy, miał 23 lata, Jan, dwa lata starszy, traktował go jak młodszego brata. Tego dnia, późnym rankiem Jan wyszedł na pokład, na krótką przerwę, wypić poranną kawę, a właściwie kakao, oni pijali na drugie śniadanie kakao. I wtedy nadleciało wprost nad ich głowy, z jasnego nieba, sześć samolotów Luftwaffe. Pocisk trafił w sam środek pokładu i rozerwał się dopiero w maszynowni, dokładnie tam, skąd Jan wyszedł pięć minut wcześniej. Okręt ciągle trzymał się na wodzie - Jan zbiegł do maszynowni. Szukał Stefana, znalazł głowę, ciało też tam gdzieś było, wśród szczątków czterdziestu sześciu innych. Nie było już nikogo do ratowania.

Okręt tonął. Łodzie ratunkowe były już spuszczone. Ludzie skakali do nich z pokładu, a nad głowami krążyły niemieckie samoloty i strzelały. Jakiś odłamek trafił Jana w łokieć w momencie, kiedy wdrapywał się do łodzi. Wciągnięto go. Potem trzy dni płynęli, aż jakiś amerykański okręt wyłowił ich u wybrzeży Afryki. Ręka Jana była już czarna od gangreny.

Po sześciu tygodniach w szpitalu w Algierze, gdzie wszystkie pielęgniarki, zarówno czarne jak białe, mówiły tylko po francusku i żadna nie mogła za niego napisać listu, Jan doszedł do siebie na tyle, że przewieziono go samolotem do Gibraltaru, a stamtąd inny amerykański statek zabrał go do Anglii.

Pewnego dnia, w 1943 roku, stanął na progu ich mieszkania ze swoim przepraszającym uśmiechem, duży i nieporadny, w spodniach od amerykańskiego munduru, w pożyczonej koszuli i w polskiej czapce marynarskiej - i to był cały jego majątek. Wszystkie dokumenty, listy, fotografie rodzinne utonęły w Morzu Śródziemnym.

Mary przechyliła się przez barierkę: w tym ciepłym, zielonkawym morzu, gdzieś na dnie spoczywał „Dragon”, a z nim i Stefan, i inni.

Czy to możliwe, żeby po tylu latach, po tylu cierpieniach, ludzkość nie była mądrzejsza? Czy to możliwe, żeby dzisiaj, w maju 1967 roku, ktoś chciał rozpoczynać wojnę?! Właśnie wtedy, kiedy oni rozpoczynają nowe życie. (...)

Dziesięć funtów od osoby kosztował ich ten przejazd do Australii, resztę dopłacał rząd. Oczywiście, żeby na to zasługiwać, kandydat na Australijczyka musiał być nieskazitelnie czysty, bez kartoteki w policji, mieć doskonałe zdrowie i zadowalającą historię zatrudnienia. Toteż można było przyjąć, że *Fairstar* wiozł na pokładzie solidny ładunek uczciwych potencjalnych Australijczyków, choć różnili się oni między sobą akcentem, charakterem i przeszłością. Niektórzy byli nieco zamożniejsi niż inni, bardziej pewni siebie i głośniejsi w barze. (...)

Gordon siedział nad następną szklanką, a oczy pływały mu we łzach. Mary westchnęła.

- Pójdziemy już, prawda?
- Co my tu robimy? Po co my tu siedzimy?
- Och, Gordon, upiłeś się znowu.
- Nie jestem pijany. Jestem głupi, że dałem się namówić na tę podróż. Straciłem wszystko, wszystko sprzedane: dom, samochód. Na zatracenie!
- Kochany - zaczęła tłumaczyć szeptem, jeszcze raz, od początku. - Dorobimy się szybko i więcej, tam są możliwości. Matka pisze, że łatwo o dobrą pracę. Kupimy dom niedługo. Zobaczysz.
- Praca. Oni wszyscy - zatoczył ręką łuk - oni myślą, że znajdą złoto.
- To nie tak. To górnicy, a tam są kopalnie złota.
- Ja nie jestem górnikiem.
- Nie martw się. Jan dostał pracę w mennicy, a Sandra w biurze. Coś się znajdzie dla ciebie, na pewno.
- Po co nam to... Mieliśmy wszystko! (...)

Byli małżeństwem od trzynastu lat. Miała osiemnaście lat, kiedy poznała go na zabawie. Dobrze ubrany, farmerski syn, był bardzo przystojny, choć nieco tylko wyższy od niej i dobrze tańczył. Był jednym z czterech braci gospodarujących na 500-akrowej farmie. Wszyscy oni byli uważani za świetne partie. Gordon był pięć lat starszy od Mary.

- To właśnie to, czego ci trzeba - orzekła jej matka. (...)

Jeżeli jednak nie była pewna swych uczuć wobec narzeczonego, to zakochała się od razu w jego rodzinie. Jej teściowa, Izabella, była wszystkim, czym matka rodziny powinna być. Wchodząc do jej domu, wchodziło się w inny świat. To był wielki wiejski dom: wielki kominek, ogromny stół, obfitość jedzenia, zapach domowych

konfitur, domowej roboty bułeczki, naleśniki... Każdy posiłek jak uczta. A przy tym Izabella Grant była piękną, postawną kobietą. Potrafiła być stanowcza i ustanawiać domowe prawa, a jej rodzina odpłacała jej taką samą miłością i szacunkiem, jakimi ona obdarzała ich wszystkich.

Wszystkie wydatki i koszty wesela pokryła Izabella. Mary pochodziła z miasta i mieszkańcy wsi długo uważali ją za obcą, ale w domu Izabelli Mary szybko dostosowała się do życia na farmie. Polubiła je. Przez sześć miesięcy mieszkali z teściową, potem kupili własny, mały domek, och, to było cudowne! Mary miała poczucie, że życie jest piękne u boku jej przystojnego, dobrego i spokojnego męża. Tak, porównując się do innych młodych mężatek dookoła uznawała, że powodzi jej się dobrze. Często zabierała z miasta na farmę swoją młodszą siostrę Sandrę, bo dziewczynka przeważnie siedziała w domu sama: ojciec był zwykle w pracy, a matka... nie wiadomo, gdzie. (...)



Kryzys bliskowschodni dopiero się rozpoczynał. *Fairstar* miał być ostatnim statkiem pasażerskim, który przepłynął przez Kanał Sueski w 1967 roku, w ostatniej chwili,

choć pasażerowie nie byli tego świadomi. Dookoła panował spokój, tyle że zbliżając się do strefy Kanału mijali stojące na redzie angielskie statki wojenne czekające na przeprawę.

Morze było jak bajka, przez ostatnie dni zachody słońca barwiły niebo nieprawdopodobnymi kolorami, a teraz oto - dla ukoronowania tego wszystkiego - przesuwają się przed jej oczami płaskie brzegi Afryki, jak dekoracja do hollywoodzkiego filmu.

Mary była od dzieciństwa kinomanką. W jej dziecinnej fascynacji srebrnym ekranem tkwiła gdzieś głęboko wiara, że w tym świecie wytwornych kobiet i wspaniałych romansów, czeka na nią jej własne miejsce.

To było zdumiewające: zapomniane uczucie oczekującej, wspaniałej, tajemniczej przygody znów do niej wróciło, po tylu latach! Kiedy ogłoszono, że w Port Saidzie pasażerowie mogą zejść na ląd i organizuje się dla nich całodniową wycieczkę pod piramidy - powiew egzotycznej przygody był tak silny, że Mary zaparło dech. (...)

Gordon zażyczył sobie odwiedzić sklep złotnika i Mary wiedziała, dlaczego: zbliżały się jej urodziny. Potem zdecydowali przejść się po starożytnych uliczkach na piechotę. Przewodnik szedł z tyłu, prowadząc za sobą konia i bryczkę. Szli nie spiesząc się, rozglądając się i smakując całą niezwykłość otoczenia. Nagle z jakichś drzwi wynurzył się młody Arab w szkarłatnym fezie na głowie, w szacie przewiązanej w pasie jedwabnym sznurem z frędzlami. Wyglądał jak prawdziwy arabski Szejk, wojownik pustyni prosto z kinowego ekranu, *dar bogów dla każdej kobiety*, pomyślała romantycznie Mary. (...)

Port Said to była przygoda. Nigdy nic podobnego już nie zobaczą. Ale bez głębszego wnikania w ciemne tajemnice Wschodu mogą się świetnie obejść.

Równik przekraczali z wielką pompą. Na górnym pokładzie królował brodaty Neptun z orszakiem lekko owłosionych - przy bliższym przyjrzeniu się - Syren. Z dużym hałasem wybierano najpiękniejszą pasażerkę spośród kilkunastu rozchichotanych dziewcząt. Wybrana otrzymywała prawo zasiadania do końca rejsu przy kapitańskim stole. Uroczyście wręczono wszystkim Grantom - zagubionym wśród całej rzeszy innych podróżnych - świadectwa przekroczenia Równika.

Rozdział 3 ukaże się w poniedziałek 27 marca 2017 r.

Posiwiała rzeka - haiku

Tekst: Adam Fiala

Fotografie: Anna i Andrzej Fiala



Posiwiała rzeka, fot. Anna Fiala

Posiwiała rzeka

W prześwitach

Zachodzącego słońca



Skamieniałe marzenia, fot. Anna Fiala

Skamieniałe marzenia

Olbrzymia

Z rudą czupryną



Światło, fot. Anna Fiala

Światło i kształty

Zrodzone

Z ciemności



Odbity most, fot Anna Fiala

Odbity most

W rzece Swan

Ma przesmak prehistorii



W blasku, fot. Anna Fiala

W blasku Australii

I martwe trawy

Ożywają



Samotny krab, fot. Anna Fiala

Samotny krab

Wdrapał się na drzewo

I zmarł



Palma, fot. Anna Fiala

Palma

Która zrodziła

Słońce



Dokąd, fot. Anna Fiala

Dokąd podążasz

Biały króliczku

Tępiony w Australii



Tajemniczy wieloryb, fot. Anna Fiala

Tajemniczy wieloryb

Który zastygł

Na łądzie



Jednooki, fot. Anna Fiala

Jednooki potwór

Niepewny

Swego istnienia



W zielonych koronkach, fot. Andrzej Fiala

W zielonych koronkach

Ukrywają się oczy

między pionem cienkiego nosa



To drzewo, fot. Andrzej Fiala

To drzewo

Pragnie przytulić

Niebo i powietrze



Dwaj leśni mocarze, fot. Andrzej Fiala

Dwaj leśni mocarze

Jeden z nich

Podciąga się ku górze

Miłość po szkocku. Prehistoria -

kiedy życie było proste.



Glasgow na dawnej fotografii. Stacja kolejowa.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.

Ma na imię Mary. (...) Wychowała się w Glasgow, w przemysłowym, zadymionym mieście, nad rzeką Clyde, którą spływały ścieki z wielu fabryk, między innymi ze stoczni Goran, tej, w której zbudowano wielkie pasażerskie transatlantyki - królowe „Mary” i „Elizabeth”. Były lata trzydzieste. (...)

Mieszkańcy Glasgow - twierdzi Mary - potrafili się bawić, mieli swoisty wdzięk i poczucie humoru. Większość mężczyzn umiała śpiewać i grać na akordeonie. Jeśli nie mieli pod ręką żadnych instrumentów, wkładali między palce rąk suche kostki baranie i wybijali nimi rytm niby grzechotkami. Często tak grali i śpiewali w pogodne letnie wieczory. Śpiewali o Szkocji, Szkoci bowiem zawsze śpiewają o Szkocji, w kółko o zielonych łąkach i polach rodzinnych. Większość z nich zresztą nigdy nie ruszała się z miasta i nigdy nie widziała tych gór, o których śpiewali, bo sąsiedzi Mary nie byli podróżnikami i jeśli ktoś z nich kiedyś dotarł do Londynu, uważano, że widział już cały świat. (...)

Dzieci dookoła było dużo i życie na podwórku wrzało. Rzadko kto miał zabawki, a te dzieci, które je miały, strzegły ich jak najdroższych skarbów. Ale od czego pomysłowość? Dwie puszki po konserwach, ze sznurkiem przewleczonym przez dziurki w ściankach - i już mieli *puszki-chodaki*, na których człowiek czuł się taki wysoki, oczywiście, jeśli potrafił utrzymać równowagę. Skakanekę robiło się z kawałka linki do wieszania bielizny. (...)

Charlie, jej mały brat, był częścią jej życia od zawsze. Opiekowała się nim, chroniła go, i matkowała mu. Brał udział w jej zabawach i psotach - z konieczności i z natury rzeczy. (...)

Właściwie, dla Mary wojna zaczęła się dopiero, kiedy pierwsze bomby spadły na Govan. Mieszkali tylko o dwie mile od stoczni, która była pierwszym celem Luftwaffe. Dorośli mówili między sobą: *O nie, Niemcy nigdy nie przejdą przez*

Kanał Angielski. Stary Churchill będzie ich bił na plażach, a my wytępiemy ich na brzegu. Nie wiedziała, o czym mówią, ale miała szybko spostrzec, że świat się zmienił. (...)

Mary zawsze najbardziej lubiła wczesne wieczory, zanim jeszcze trzeba było wracać do domu na kolację. Ale teraz coraz częściej wyły syreny i wszyscy szli do schronu. Po drodze, czasem widziała samoloty i – przysięga na to – lecące z nieba bomby. Wszystko było fascynujące. Wczesnym rankiem ludzie grzebali w gruzach szukając resztek swojego dobytku. Wszyscy opowiadali sobie, gdzie spadły bomby ostatniej nocy.

Któregoś jesiennego dnia (*to było 1 października 1940* – mówi Mary), w słoneczne, jasne popołudnie, Matka zawołała ją z okna. W jej głosie było coś tak dziwnego, że Mary popędziła najszybciej, jak mogła. Mama szlochała, skulona na klęczkach, na podłodze, w kuchni.

- Twój tatuś nie żyje!

Mary zapytała niepewnie:

- Co to jest „nie żyje”?

Mama zajrzała dziecku w oczy i zastanowiła się chwilę:

- To znaczy... poszedł do nieba.

To brzmiało lepiej. Mała objęła matkę rączkami za szyję i powiedziała:

- Nie płacz, znajdziemy drugiego.

(...)

Z dnia na dzień życie zmieniało się na gorsze. Matka sprzedała stopniowo wszystkie meble, ze wspianiałym pianinem na czele. Zabawki Charliego i Mary zniknęły z domu już dawno. Żywność kupowano na kartki. Cukru brakowało, używano sacharyny. Kobiety nauczyły się gotować zupy bez mięsa, na odrobinie margaryny. Cała Szkocja jadła owsiankę, której Mary nienawidziła. Osiągalna była ryba – i kości, tylko kości.

W okolicach Bożego Narodzenia bywało ciężiej, niż latem. Dzieci kochały śnieg, robiły z niego bałwany, ale kiedy topniał, buty przemiękały natychmiast. Miewali oboje z Charliem okropne bąble na stopach, które próbowali suszyć i ogrzewać przy kominku.

Węglarz przychodził raz w tygodniu. Węgla było w ogóle mało. Niedaleko ich domu zaczynała się najuboższa dzielnica miasta. Ludzie tam wiedzieli, kiedy przybywały pociągi z węglem i wtedy kto żyw ciągnął na tory: mamy, babcie, nawet pięcioletnie dzieci, wszyscy zbierali drobny węgiel rozsypany na torach. Ładowali go do starych wózków dziecinnych i taczek. Kobiety miały fartuchy pozszywane brzegami jak torby i zginały się pod ich ciężarem w pół, ale to nie węgiel pokrywał pyłem ich twarze, one były zawsze smutne i postarzałe przed czasem.

Dla dzieci wszystkich wyznań jednakowo, Boże Narodzenie było okazją jedyną w roku. Dzieci życzyły sobie choinki i prezentów, takich jak w domach kolegów i na wystawach wielkich sklepów.

Mary przypomina sobie, jak tuż przed którymiś świętami podczas wojny odkryła w szafie przygotowane dla niej i Charliego paczki. Bardzo żałowała wtedy swojej ciekawości. Marzenia i oczekiwania były o niebo piękniejsze niż rzeczywistość: szmaciana lalka, dwie mandarynki, czekoladowe pieniądze - i to wszystko. Miała jeszcze nadzieję, że do świąt jej paczka się powiększy. Niestety. Była zawiedziona, ale nie pisnęła słówka, bo dostałaby solidnego klapsa, gdyby matka wiedziała o jej myszkowaniu po szafach.

Święta były i tak ciekawe, bo szkoły i teatry wystawiały przedstawienia dla dzieci, jasełka, musicale i pantomimy: występowali prawdziwi artyści, światła i muzyka wzruszały do łez, nawet jeśli się nie rozumiało ich sensu i nikt nie zadał sobie trudu, by ten sens wyjaśnić.

Po jednym takim przedstawieniu Mary postanowiła, że kiedy dorośnie, zostanie artystką. Najlepiej tancerką.

Ogólnie - życie było piękne.

(...)

Matka była zawsze otoczona rojem mężczyzn różnych narodowości, miała w czym wybierać. Chodziła z sympatycznym Kanadyjczykiem, nawet korespondowała z jego rodziną w Kanadzie, ale zabito go na froncie. Potem był Henry Lang, oficer brytyjskiej marynarki, też miły, ale Mama stwierdziła, że jest niepoważny. Następny, Bill Johnson, był prawdziwym dżentelmenem, ale nie umiał tańczyć. A potem pojawił się Jan Rogacki, Polak, olbrzymi, przystojny marynarz o łagodnych, brązowych oczach.

- Ciekawe - mówi Mary - Jan też nie umiał tańczyć, a jednak matka zaręczyła się z nim.



Mary i jej brat Charlie.

Mary i Charlie zobaczyli Jana pierwszy raz w 1942 roku. Jego okręt „Błyskawica”,

przyplął do Broomilaw dla przeprowadzenia przeglądu technicznego i niezbędnych reperacji. Jan poszedł z kolegami do klubu dla cudzoziemskich marynarzy i tam zawarł znajomość z dwiema Irlandkami, siostrami, które z kolei zapoznały go ze swoją przyjaciółką. Nazywała się Sheila Ross (Catherine, ale kazała mówić na siebie Sheila). Była samotną matką z dwójką dzieci. Stracił dla niej głowę od razu.

Mary była nim zachwycona. Był łagodny, nie mówił wiele, podziwiał, kiedy popisowała się dla niego tańcem, przynosił im czekoladę. Matka dostawała od niego jedwabne pończochy i podarunki ze wszystkich portów, do których „Błyskawica” zawijała w swoich rejsach.

Jan nie był jedynym Polakiem na horyzoncie. Ciotka też chodziła na randki z jakimś polskim żołnierzem. Jan pojawiał się na przepustkach dość często i zawsze coś przynosił. Matka rzuciła pracę i zaczęła napomykać, że Jan będzie ich tatusiem. Znowu spali w normalnych łóżkach, jadali regularnie posiłki, a dom był czysty i wysprzątany. Wraz ze swoją wyplatą Jan wnosił do ich życia normalność.

W wolnych chwilach majsterkował. Nie miał wprawdzie narzędzi, ale i tak potrafił zrobić stolik do kawy, na trzech nogach. Zrobił ich kilka, a Mary sprzedała je swoim koleżankom w szkole, po siedem szylingów i sześć pensów – to był majątek!

Jan potrafił zrobić sidła i złapać w nie gołębia. Pieczone gołąbki – to był prawdziwy rarytas na ich stole. Jan postarał się o nowe ręczniki i pościel, a koce na pewno pochodziły z „Błyskawicy”, no bo skąd? Były wprawdzie niewielkie, ale Mary znowu było w nocy ciepło. Te koce miały jej służyć przez całe lata. Jadąc do Australii też zabrała je ze sobą.

Któregoś dnia Jan przywiózł hamak. Powiesił go na podwórku, na hakach wbitych z jednej strony w ścianę komórki na węgiel, a z drugiej do muru schronu przeciwlotniczego, ponad workami z piachem. To była najpiękniejsza huśtawka w całym Glasgow! Hamak mógł pomieścić jednocześnie nawet trójkę dzieci. Mary lubiła się na nim kołysać – i marzyć, patrząc na przepływające obłoki. Spokój nie trwał jednak długo. „Błyskawica” popłynęła gdzieś daleko, a matka wymyśliła coś nowego.

Mary miała zaledwie osiem lat, a Charlie sześć, kiedy matka zgłosiła się na

ochotnika na wyjazd do Anglii. Była dobrym fachowcem, pracowała jako operator dźwigu, ale nie musiała nigdzie wyjeżdżać, każdy by zrozumiał, że jej dzieci potrzebują jej na miejscu. Nie: pojechała. Nawet nie zgodziła się, żeby ją Charlie odprowadził na stację, bo dzieciak nie miał odpowiedniego ubrania. Przyniósłby jej wstyd. Oczywiście, nie zostawiła ich na łasce losu, powierzyła ich opiece swojej siostry, Christine. Właściwie Mary nawet lubiła tę ciocię. Tylko że ciocia Chris była sama w trakcie rozwodzenia się z mężem, a jej własny synek został umieszczony w domu dziecka z powodu zaniedbania.

Owa „opieka” wkrótce się cioci znudziła. Zaczęło się od wyprzedaży resztki mebli. Zniknęły też zabawki. Spali na podłodze i trzęśli się z zimna, bo nie mieli ciepłej odzieży. Pożerały ich pchły, wszy i świerzb. Mary płakała gorzko, kiedy ścinano aż do skóry jej gęste blond włosy. Charliemu też ogolono głowę. Dzieci w szkole wyśmiewały się z nich, toteż Mary przestała chodzić do szkoły. Wagarowała całymi tygodniami. Próbowала napisać do matki, nie dostała odpowiedzi.

Matka przysyłała ciotce co tydzień 10 szylingów na utrzymanie dzieci. Ciocia, tak jak przedtem mama, wręczała Mary pieniądze i listę zakupów - i Mary musiała wystawać w kolejkach po żywność.

Któregoś tygodnia, wychodząc na zakupy, Mary zjeżdżała po poręczy schodów. Banknot wypadł jej z ręki i wyfrunął przez otwarte okno porwany przeciągiem. Przez godzinę czołgała się na czworakach po ulicy, bezskutecznie szukając swojej zguby. Ciotka wpadła w furję, bo pierwszą pozycją na liście zakupów były zawsze jej papierosy. Wrzeszczała: „Nie kłam, gdzie masz pieniądze, ukradłaś, gdzie schowałaś?!” Zamknęła Mary w pokoju na pół dnia, bez jedzenia i picia, a wieczorem pojawiła się w drzwiach z trzciniową trzepaczką. Zbiła dziewczynkę tak mocno, że krew spływała jej po nogach. Zachowywała się, jakby oszalała, aż ktoś z sąsiadów z dołu usłyszał awanturę i interweniował.

Następnego dnia Mary poszła do szkoły - i dopiero wtedy podniósł się krzyk. Nie wyglądała pięknie ze swoją łysą głową w bandażach, z siniakami i otwartymi ranami na nogach. Postanowiono, że Mary i Charlie zostaną ulokowani w domu dziecka. Ich matka pojawiła się w samą porę - po dziewięciu miesiącach nieobecności.

Niestety, szczęście trwało krótko: po tygodniu pojawił się również matki świeżo

poślubiony mąż. To nic, że była zaręczona z „głupim Polakiem”. Jan leżał ranny w Algierze, a ona wyszła za angielskiego marynarza z Birmingham. To był awans społeczny.

Marynarz nienawidził dzieci, a co gorsze, był komunistą i bił matkę, a Mary gryzła go i kopała krzycząc: „Zostaw mamę, daj mamie spokój!” – aż przyjeżdżała policja. Małżeństwo rozsypało się wkrótce, ale rozwód matka dostała dopiero po wojnie, kiedy wrócił Jan. I jeszcze musiała przy rozwodzie wziąć na siebie winę cudzołóstwa...

Los jest złośliwy – myślała Mary później, kiedy rozpamiętywała tę historię.

Ciotka Chris, która tak ją zbiła, miała długo wyrzuty sumienia. Na 12 urodziny, już po wojnie, kupiła Mary najwspanialsze wrotki, jakie można było dostać w sklepach. Mary jeździła na nich po ulicach jak szalona, skakała w górę, robiła salta i obroty w powietrzu. Czuła się jak Sonia Heine. Nie rozstawała się z wrotkami nawet w nocy, kładła je pod poduszkę. Niestety, jej swoboda trwała krótko. Niedługo potem musiała się zająć małą siostrzyczką.

Sandra urodziła się w roku 1946, dokładnie w którąś tam rocznicę tego dnia, kiedy jej ojciec, czyli Jan Rogacki, omal nie stracił życia na morzu. Ważyła dziewięć funtów i miała oczy jak Jan. Ojciec trzymał ją w rękach wysoko nad głową, tak, jak sportowcy prezentują swoje puchary stojąc na podium zwycięzców – i obwieszczał światu radośnie: *Moja kochana Sandrianna Rogacka!*. Mary czuła się szczęśliwa, jak nigdy w życiu.

Maleńka siostra była dobrym dzieckiem. Nigdy nie płakała i była śliczna. Mama robiła jej kaftaniki na drutach. Ojciec kupił maszynę do szycia, a że Sheila nie umiała nawet nawlec igły, Mary z dumą pomagała jej opanować tajniki szycia, jako że tego nauczono ją w szkole. W końcu wspólnym wysiłkiem sporządzono nie tylko sukieneczki we wszystkich kolorach tęczy dla Sandry, ale i dwie spódniczki dla Mary, jej pierwsze od lat nowe sukienki!

Jana zdemobilizowano w 1947 roku, a w październiku 1948 Sheila i Jan Rogacki wzięli ślub. Wyprowadzili się do Kirkcaldy. I tak skończyła się epoka Glasgow – i dzieciństwo.

Miłość po szkocku. Prolog.



Warszawa, Plac Zamkowy

Fragment powieści polskiej pisarki z Perth (zachodnia Australia) opartej na historii mieszkającej w Australii Szkotki Mary, która zakochała się w Polsce, dzięki ojczymowi Polakowi. Jej przybrany ojciec, w powieści Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), podczas II wojny światowej pływał na słynnym kontrtorpedowcu ORP „Błyskawica”.

Anna Habryn

Siedziała w taksówce, która wiozła ją do centrum Warszawy, słuchała jak kierowca swoją kulawą angielszczyzną objaśnia jej znaczenie miejsc i budynków, które mijają –

i myślała:

Dlaczego czuję takie patriotyczne wzruszenie? Jakbym była w domu, jakbym urodziła się w tym kraju. Przecież łączy mnie z nimi tylko taka cieniutka nić, jeden człowiek... Gdybym Janowi o tym opowiedziała, pewnie by tego też nie zrozumiał.

A przecież tą pielgrzymką do Polski oddawała mu cześć, deklarowała, że stoi po jego stronie, że opowiada się za tym wszystkim, czego on się dobrowolnie wyrzekł. Czuła w sobie na myśl o Janie święty gniew. Zrezygnował z siebie samego, głupio i lekkomyślnie... Tak, jakby zaprzedał swojej Sheili własną duszę w zamian za gwarancję szczęścia i miłości. Tylko, że Sheila nie dotrzymała umowy! I dlatego ona, jej córka, musi Janowi zwrócić część tej zapłaty, to, co da się jeszcze ocalić.

Pojechała na Stare Miasto, zatłoczone tłumem turystów. Chodziła wśród obrazów rozstawionych pod ścianami domów i na środku, w pełnym słońcu, wśród akwarelowych i olejnych pejzaży i widoków Warszawy sprzedawanych wcale nie za takie grosze. W starej baszcie, w sklepie przypominającym Sezam, oglądała cudnie przejrzyste bursztyny. Wchodziła do mrocznych kościołów pełnych rzeźbionych ołtarzy, i stalli, i chórów, i kazalnicy, i organów, a wszędzie trwało ciągle nabożeństwo.

W jednej z wąskich uliczek brukowanych kocimi łbami usłyszała nikły, wibrujący dźwięk akordeonu. Sama kiedyś próbowała grać na akordeonie. Poczowała ciepło w sercu. Rozejrzała się. Na chodniku pod ścianą siedział chłopiec w łachmanach, cygańskie dziecko, i grał piosenkę, której angielskie słowa dobrze pamiętała:

Oh, how we danced on the

Night we were wed...

Tę piosenkę grano podczas jej własnego ślubu. Musiała podejść bliżej, jakby pociągana nitką dźwięków. Idąc, powstrzymywała nogi, żeby nie pęsały zbyt wyraźnie w rytm walca, przecież to nie wypada. Jej oczy lśniły jak gwiazdy, kiedy dawała chłopcu wielką garść drobniaków. Odpowiedział uśmiechem równie radosnym, jak jej własny.

Kupiła sześć lalek w ludowych strojach i jeszcze kilka drobiazgów z kryształu. Drewnianą płaskorzeźbę z godłem Orła Białego – dla Jana. I kilka polskich proporczyków. I wisiołek z bursztynu – to dla siebie. Talerz z namalowaną Syrenką, której polskiego imienia nie знаła, ale wiedziała, że to symbol Warszawy i że słowa wyryte na obrzeżu znaczą: *Warszawa zawsze wolna*.

Rozważała przez chwilę pomysł przejechania się dorożką, ale zarzuciła go, bo poczuła się głodna. Nie, dość już polskiej kuchni. Znalazła pizzerię, gdzie podano jej coś znanego i pewnego – i do tego piwo.

Potem znów wyszła w słońce.

Wędrowała wśród tłumu turystów fotografujących wszystko. Wiedziała, że Starówka jest tylko rekonstrukcją, odbudowaną z ruin. Ale w zachowanych gdzieś fragmentach starych ścian widziała autentyczne dziury po niemieckich kulach. Te kule zabijały tu niegdyś ludzi, zwykłych ludzi. Dobrze, że te znaki zostawiono dla przyszłych pokoleń, aby wiedziały. Czuła, że to miejsce, tak pieczołowicie odbudowane ze szczątków, jest święte. (...)

Zeszła nad Wisłę, w dół po zielonym stoku. Woda płynęła spokojnie. *To byłby piękny obraz, gdyby go namalować, z dołu patrząc na ten most* – pomyślała. Jacyś chłopcy próbowali łowić z brzegu ryby.

Przypomniały jej się dzieci, które spotkała podczas porannego spaceru koło hotelu. Zapytała je, gdzie jest najbliższy przystanek autobusowy. Chciała po prostu nawiązać rozmowę. Powiedziała, wskazując na siebie:

-Nie polskie, *Scottish*.

Obstąpiła ją cała czwórka. Znały kilka angielskich słówek i prześcigały się w wysiłkach, żeby się z nią porozumieć. Udało im się nawet dać jej do zrozumienia, że przejęły się śmiercią księżnej Diany. Mary bawiła się tą rozmową znakomicie. Powiedziała im, że jest z Australii i nawet spróbowała naśladować kangura! Pękały ze śmiechu. A potem już musiały iść.

-Do widzenia pani – powiedziały. – Szkoła.

Patrzyła za nimi, pewna, że tego dnia będą miały co opowiadać nauczycielce.

A teraz pomyślała obserwując małych urwisów nad rzeką: *Dzieci są nie skażone przeszłością, szczęśliwe i mają wielką, wspinałą przyszłość przed sobą.*

Siadła na trawie, w cieniu drzewa, wyciągnęła z torebki długopis i nabazgrała na skrawku papieru: *Vistula...*, nie, polskie słowo *Wisła* będzie lepsze:

Wisła, Wisła, daleko płyniesz

Od Krakowa do Bałtyku.

Z warszawskiego mostu w dół

Moje oczy śledzą nurt.

Myszę o twoich synach

Zabitych wiele lat temu.

Walczyli, żeby cię bronić

Wolność dla Polski - krzyczeli

Swoim ostatnim oddechem.

Bracia i siostry

Trzymajcie głowy wysoko

Polska jest wolna

Polska nigdy nie zginie.

Przyjrzała się temu tekstowi. Tak, to było to. Była z siebie zadowolona.

Kiedy wspinała się z powrotem pod Barbakan, przy schodach wiodących do góry zobaczyła posąg powstańca, żołnierza. Stał na małym, białym cokole, w hełmie, z karabinem. Było w tym widoku coś znajomego. Chwilę trwało, zanim zrozumiała, co

to takiego - i struchlała. Rozejrzała się dookoła i ze zgrozą zobaczyła, że to „coś” jest wszędzie: graffiti. Czarną farbą, na starych, poranionych kulami ścianach, na nowych białych domach, na cokołach pomników. Najobrzydliwsze słowa, ozdobnie przybrane w zawijasy, albo brutalnie proste, grube, bez osłonek. Dobrze jej znane.

Starszy pan, z trudem wspinający się po schodach, z laską w ręku, przystanął koło niej, zdyszany. Popatrzył na nią, za jej wzrokiem, na ten pomnik powstańca z ozdobnym „*Fucken*”... a potem powiedział z ironią:

-No cóż, cała młodzież uczy się dziś angielskiego.

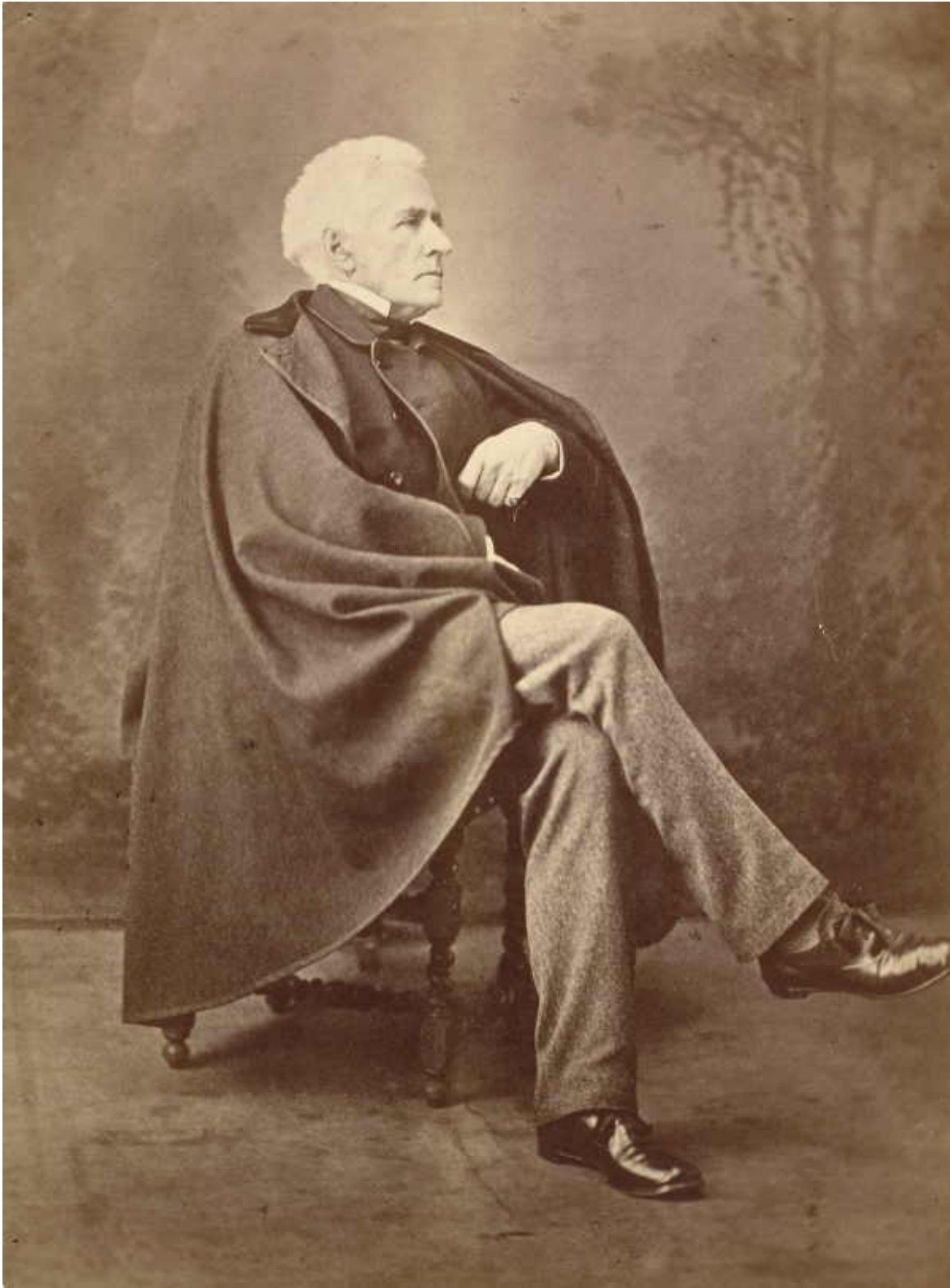
Nie rozumiała jego słów. Potoczył laską dookoła:

-*English* - powiedział.

To było tak, jakby ją uderzył. Chciała wytłumaczyć: ja jestem Szkotką... ale nie powiedziała nic. A on pokiwał głową - i poszedł dalej.

Dalszy ciąg ukaże się w poniedziałek 27 lutego 2017 r.

Paweł Edmund Strzelecki - postać fikcyjna czy realny człowiek?



Paweł Edmund Strzelecki

Lech Krzysztof Paszkowski

Prawda nie jest nigdy niewinna i rzadko bywa prosta.

Sir Paweł Edmund de Strzelecki jest najbardziej znanym Polakiem na kartach australijskiej historii w XIX wieku, wśród kilku mniejszych badaczy urodzonych w Polsce. Istotnie w wielu kręgach uważa się, że jego sława oparta jest jedynie na jego osiągnięciach jako odkrywcy. A jednak te osiągnięcia, interesujące i ważne jako takie, nie należą do najważniejszych w Australii dokonań w zakresie odkryć terytorialnych. Jego specjalne osiągnięcie w „eksploracji”, raczej plasuje się na polu wiedzy naukowej odnoszącej się do Australii, będąc wkładem całkowicie oryginalnym i wszechstronnym. Odkrywczość Strzeleckiego ma wiele płaszczyzn, a każda z nich jest niezwykle interesująca, niezależnie od tego, czy jego wnioski zagadzają się z poglądami późniejszymi. Niestety jednak, jest on trudnym obiektem dla biografów. Łatwiej byłoby napisać biografię innego odkrywcy-obcokrajowca, takiego jak Ludwig Leichhardt albo Mikołaj Mikłucho-Makłaj, ponieważ mamy ich dzienniki. Dziennik Strzeleckiego, zatytułowany „Mon Journal” i pisany po francusku, zaginął. Załedwie kilka stron tego dziennika zachowało się w postaci przypisów do jego „Opisu fizycznego Nowej Południowej Walii i Ziemi van Diemena”. Jego osobista korespondencja oraz dokumenty zostały spalone po jego śmierci. Jego listy wysyłane do Polski nie przetrwały I Wojny Światowej, z wyjątkiem kilku stron. Mając więc załedwie strzępki dokumentacji, napisanie satysfakcjonującej biografii Strzeleckiego jest niemożliwe. Można załedwie podjąć próbę zrekonstruowania ciągu faktów w ramach okresu jego życia. (...)

28 września 1840 roku Sir George Gipps pisał do lorda Russella:

Z zadowoleniem przesyłam niniejszym Waszej Lordowskiej Mości kopię opisu tej podróży złożonego mi przez Hrabiego [Strzeleckiego], i nie mogę tego zrobić bez powiadomienia Waszej Lordowskiej Mości o uczuciach poważania i szacunku w stosunku do niego, które zostały wzbudzone wśród mieszkańców tej Kolonii.

James Fenton z Tasmanii wspominał go w 1842 roku tak:

Najbardziej czarujący rozmówca. Objechał prawie cały świat, był pogodny w konwersacji, miał bogaty zapas anegdot, które opowiadał w najbardziej interesujący i często zabawny sposób, z silnym cudzoziemskim akcentem... przy

tym był wesoły, odważny, o silnej konstytucji fizycznej i obdarzony bogatym zasobem naukowej wiedzy.

5 września 1842 roku lady Jane Franklin pisała do swojej siostry:

On [Sir John Franklin] prawdopodobnie przedstawi panu Murray'owi jedną z najbardziej znakomitych i interesujących osób jakie kiedykolwiek poznał, nawet przy szerokim kręgu jego dystygowanych znajomych, polskiego szlachcica, hrabiego Strzeleckiego. Wiem, że będziesz nim oczarowana, jak każdy bez wyjątku, jest on tak dżentelmeński, elegancki, tak bystry, tak znakomity, tak pełen ognia i życia, a przy tym tak miły, tylko troszeczkę ironiczny, ale nie za wiele. Będzie on najjaśniejszą gwiazdą w twojej galaktyce ludzi zasłużonych. Spotkałam go pierwszy raz około trzy lata temu, w Government House w Sydney, gdzie był w wielkich łaskach u Sir George'a Gipps'a.

W czerwcu 1843 roku, przesłany został do Strzeleckiego uroczysty list, który zaczynał się następującymi słowami:

My, niżej podpisani, nie możemy znieść pańskiego odplynięcia od naszych brzegów bez wręczenia panu dowodu naszego serdecznego ubolewania. Korzyści, którymi pan obdarzył nasz kraj, dodały do prywatnej przyjaźni dodatkowe motywy, które wołają o publiczne i jednogłośne wyrażenie naszego szacunku.

Wśród trzydziestu dziewięciu podpisów pod tym listem były te należące do gubernatora Sir Johna Franklina, do Głównego Sędziego Sir Johna Peddera, do Sekretarza Kolonii G. Boyes'a i innych prominentnych osadników w Tasmanii.

Poniżej był Dodatek, podpisany przez lady Jane i osiemdziesiąt cztery inne osoby:

My, niżej podpisane damy z Tasmanii, w pełni podzielając uczucia szacunku i uznania wyrażone przez dżentelmenów Kolonii pod adresem hrabiego Strzeleckiego, pragniemy mieć udział w zaszczycie dołączenia się do pamiątki którą mają oni zamiar mu wręczyć.

W połowie 1845 roku Charles Darwin napisał do Strzeleckiego po otrzymaniu egzemplarza jego „Fizycznego opisu Nowej Południowej Walii i Ziemi van Diemena”:

Kilka dni temu otrzymałem pański uprzejmy i cenny prezent... Gratuluję panu ukończenia pracy, która musiała kosztować wiele wysiłku i jestem zdumiony liczbą głębokich tematów, które pan porusza. Proszę mi pozwolić wyrazić mój smutek, że nie ma tu o wiele obszerniejszych wyjątków z 'M.S.Journal'. Mam nadzieję zobaczyć go pewnego dnia opublikowanego w całości. - Mówi Pan o swoim nieidiomatycznym angielskim; z całego serca życzyłbym sobie, żeby jedna czwarta naszych angielskich autorów umiała myśleć i pisać językiem w połowie tak pełnym werwy a przy tym tak prostym.

21 listopada 1848 roku lord Overstone stwierdził, że Strzelecki jak najbardziej „dostarczył obfitości dowodów, że posiada te wysokie wartości moralne, które brytyjskie społeczeństwo zawsze miało w najwyższym poważaniu”.

Takie były opinie wyrażane przez ludzi, którzy znali Strzeleckiego osobiście i obserwowali go w realnym życiu. Po jego śmierci ten strumień pochwał się nie zmniejszył.

Narcyza Żmichowska, jego pierwszy biograf, powiedziała w 1876 roku: „Paweł Strzelecki w młodości i jak się zdaje w całym swoim życiu miał olbrzymie szczęście do ludzi.”

W 1929 tasmański dziennikarz John Reynolds napisał:

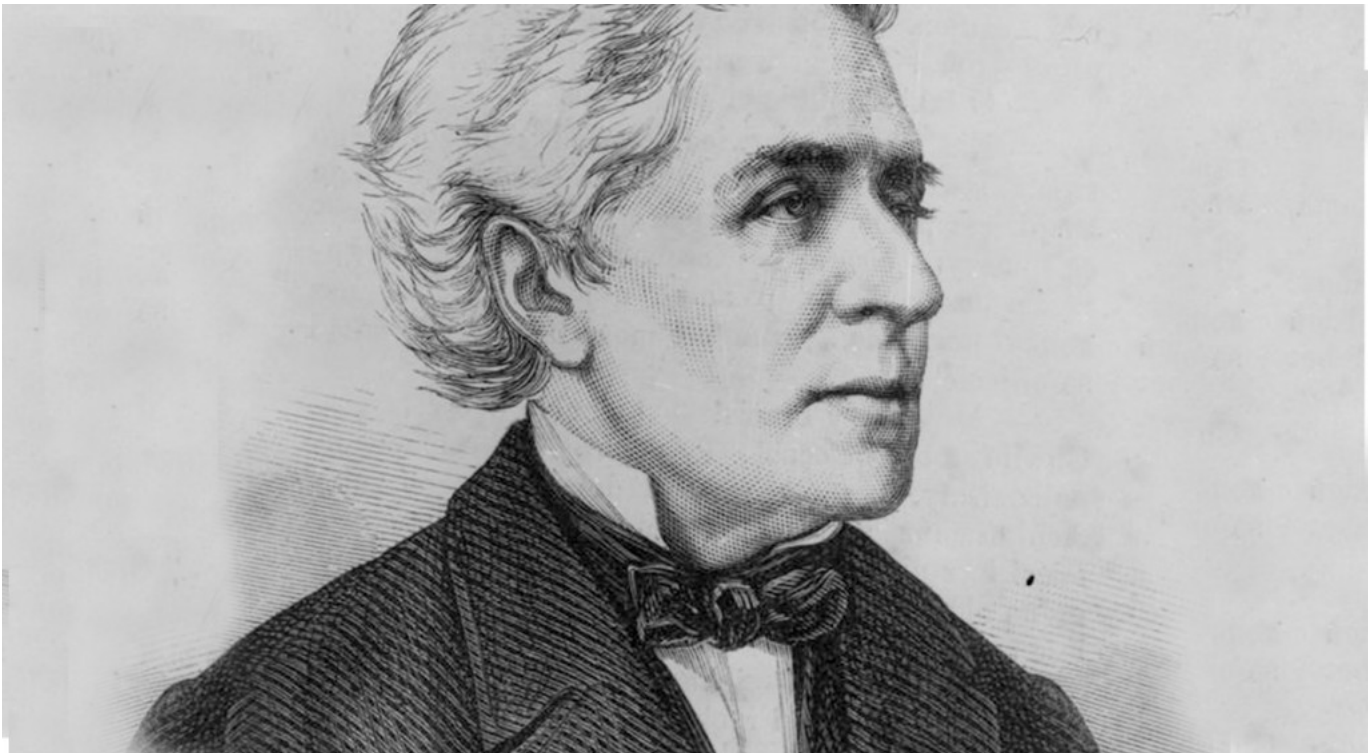
Uprzejme usposobienie Strzeleckiego uczyniło go szczególnie miłym gościem w wielu tasmańskich domach. Nawet dzisiajtrafiają się ulotne wspomnienia o tym przedsiębiorczym i wykształconym Polaku... Strzelecki należy do tej znakomitej grupy mężczyzn, którzy uczynili wiek XIX tak niezwykłym. Razem z Humboldtem, Franklinem, Darwinem, i Wallace'm, musi być uznany za jednego z wiodących naukowych odkrywców swojego czasu. Na pewno w stolicy Australii może się znaleźć jakieś miejsce żeby odpowiednio upamiętnić jego znakomite zasługi dla tego kraju.

W 1939 roku, dr Arundell Neil Lewis, znakomity geolog australijski, w płomiennych słowach oceniał zawarty przez Strzeleckiego w jego „Opisie fizycznym” dowód stanu paleontologicznej wiedzy w Australii w jego czasach. Wskazywał na *„benedyktyńską pracę, za którą australijska geologia pozostanie wdzięczna na zawsze”*.

20 października 1942 roku, Sir George Clark, prezes Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie, złożył hołd Strzeleckiemu mówiąc:

Kiedy przyjrzeć się bliżej życiu hrabiego Strzeleckiego, dwie rzeczy, poza jego odwagą i determinacją, wydają mi się niezwykle: pierwsza, to jego dar wzbudzania wśród wielkich umysłów uczucia przyjaźni i zaufania do niego. Jego związek z innym wielkim nazwiskiem naszego Towarzystwa, Sir Johnem Franklinem, jest wystarczającym tego dowodem. A inną właściwością jego charakteru, jak ja to widzę, jest jego głęboka prawość.

Bernard Cronin, autor i nauczyciel, który wychował pokolenie australijskich pisarzy i dziennikarzy, zauważył w swoim artykule z kwietnia 1959 roku: *„Niewielu ludzi miało tak bogate i urozmaicone życie jak hrabia Strzelecki. Jego miejsce w annałach Australii jest bezpieczne na zawsze, bo jesteśmy w znacznej mierze jego dłużnikami”*.



Paweł Edmund Strzelecki

Lista tych wielce pochlebnych opinii mogłaby być wydłużona i z łatwością podwojona. Jednakże w roku 1961, zupełnie inny obraz Strzeleckiego został zaprezentowany w biografii napisanej przez Helen Heney, zatytułowanej „Przez przyciemnione szkło: historia Paula Edmonda (tak!) Strzeleckiego”. W książce Heney rzucony został cień na moralną reputację Strzeleckiego, jego profesjonalna kompetencja została pomniejszona i w ogóle został on odrzucony jako niesympatyczny Polak. Nagle odrzucono i zanegowano wszystkie poprzednio cytowane opinie ludzi, którzy Strzeleckiego znali osobiście. Przyjęto za zasadę twierdzenie, że ci ludzie mylili się, kiedy rysowali pochlebny obraz Strzeleckiego na podstawie własnych obserwacji. Autorka napiętnowała Strzeleckiego jako „*figurę godną politowania*”. Ten wątek znalazł kontynuację w stałym strumieniu recenzji, a powtórki w książkach często były upiększane takimi obelżywymi wymysłami jak „*hrabia był podrabiany*”, „*drugorzędna i bezbarwna figura*”, „*ubogi krewny rodziny z pretensjami do szlachectwa*”, „*samozwańczy arystokrata*”, „*nie był odkrywcą złota*”, „*nie wspiął się na Mt Kościuszko*”. Ponadto „*jego życie rozgrywane było jako monstrualne kłamstwo i oszustwo*”, „*Strzelecki kreował i żył kłamstwem*”, „*samozwańczy naukowiec i badacz*”, „*awanturnik bez skrupułów, o niewielkim talencie i możliwościach, oportunistą, który korzystał z każdej okazji z niewielkim szacunkiem dla prawdy, aby zadowolić swoje ambicje*”, „*jego rodzice byli chłopami*”, „*urodzony w 1797 pod Poznaniem wśród ziemiaństwa ze słomą w butach (seat-out-of-their-pants gentry)*”, „*próżny exhibicjonista*”. Jeden z uczonych z australijskiego uniwersytetu określił wysiłek Heney jako „*bardzo duży naukowy kij użyty do zbitcia bardzo małego historycznego psiaka*”, podczas gdy inny bardzo utalentowany pisarz, prawdziwa duma australijskiej literatury, napiętnował Strzeleckiego jako „*człowieka o wyćwiczonej bezczelności*”. Pewien sydneyjski dziennikarz i autor wyraził się, że „*Strzelecki dostałby, co mu się należało, gdyby po dotarciu na szczyt Mount Kościuszko spadł i złamał sobie kark*”.

Po zebraniu i przeczytaniu tych uwłaczających komentarzy, uderzyła mnie uwaga opublikowana 1 czerwca 1962 w melbourneńskim miesięczniku *Bohemia*:

Jakiż to musiał być wszechmocny magik, że sam sugerował, aby go honorowano i kochano kiedy nie był tego wart i że znakomici ludzie jego epoki – ministrowie,

politycy, naukowcy, administratorzy – nawet taki realista jak Charles Darwin – potulnie zgadzali się i poddawali woli Strzeleckiego?

Tego samego dnia recenzja zatytułowana „Przyczerniony obraz” ukazała się w *The Times Literary Supplement*, gdzie krytyk pisał:

Panna Heney nie zaprzecza, że w historii Strzeleckiego był światowy sukces, ale dokuczliwie łaje go nawet za cechy takie jak towarzyski wdzięk i lojalność wobec swojej przybranej ojczyzny, które nie wydają się karalne według żadnych praw moralnych. Także i psychologiczna interpretacja używana jest do stronniczego zabarwiania faktów i jest to bardzo naiwny rodzaj psychologii.

Zastanowiło mnie też zdanie znalezione w napisanej przez dobrze znanego dziennikarza, Geofreya Tebbutt'a recenzji książki Geofreya Rawson'a *The Count*, opublikowanej w *Herald*'zie w Melbourne 19 grudnia 1953: „Pan Rawson jest zbyt uczciwy i zbyt zdyscyplinowany, aby wyciągać wnioski idące dalej, niż pozwalają na to dowody”.



W tej sytuacji sięgnąłem do trzech głównych biografii Strzeleckiego opublikowanych przed rokiem 1961. Znakomity australijski historyk, Ward L. Havard, napisał pierwszą z tych biografii w 1939 roku, i zakończył swoje cenne opracowanie (zatytułowane „Sir Paul Edmund de Strzelecki”, ukazało się w *Royal Australian Historical Society Journal*, tom 26, część 1, 1940) następującymi słowami:

Z pewnością jego zadziwiająca sprawność fizyczna i wigor, w połączeniu z wielką energią intelektualną i dogłębnym współczuciem dla bliźnich, wyniosły go do rzędu ludzi wybitnych. Z Głuszyny pod Poznaniem, bez wpływów rodziny czy bogactwa, zdobył sobie zaszczytne miejsce w Victorii i Anglii.

Komandor Geoffrey Rawson, w swojej książce *The Count* (1953), doszedł do wniosku, że Strzelecki „osiągnął ten światowy sukces i satysfakcję wyłącznie siłą swoich zalet i swojej ujmującej osobowości”.

Wacław Słabczyński, kurator Biblioteki Narodowej w Warszawie, który skonsultował się z co najmniej dwiema setkami bibliotek na czterech kontynentach przed

napisaniem najbardziej szczegółowej i najlepiej udokumentowanej do dnia dzisiejszego biografii Strzeleckiego, pod tytułem Paweł Edmund Strzelecki: Podróż-Odkrycia-Prace (1957) skonkludował: *„Nie cenił sobie sławy, a jednak ona go dosięgła wbrew jemu samemu”*.

Ani jeden z tych bardzo różniących się od siebie biografów nie wyczuwał i nie podejrzewał niczego, co mogłoby sprowokować oszczerstwa i obelgi przytaczane powyżej. Nie podobało mi się obrzucanie błotem nieżyjącego człowieka, który dobrze przysłużył się Australii i jej mieszkańcom. Toteż w latach 1950-tych narodziła się moja sympatia dla niego. W reakcji na słowa z Wprowadzenia do książki Heney *In a Dark Glass* - *„Ta rozprawa będzie dla wielu nie do przyjęcia i to jest ostateczny powód, żeby ją napisać”* - zdecydowałem sprawdzić i ocenić dowody w istniejących materiałach biograficznych i w literaturze na temat Strzeleckiego. W ciągu ostatnich czterdziestu lat wyłonił się obraz charakteru i dokonań Strzeleckiego całkowicie odmienny od tego, który stworzyła Heney, a niezbyt odległy od tego, jak widzieli go jemu współcześni.

Warto zacytować dialog dwóch zmyślonych i anonimowych postaci, które obserwują Strzeleckiego wchodzącego do budynku Towarzystwa Królewskiego w Londynie. Ten fikcyjny dialog został umieszczony w prologu do dysertacji „P. E. Strzelecki - Australian Explorer; 1797-1873”, za którą panna H. E. Heney otrzymała stopień magistra (Master of Arts) Uniwersytetu w Sydney w roku 1937. Ten dialog kończy się następująco:

Jego towarzysz roześmiał się. „Fakty, nawet w tych rzadkich przypadkach, kiedy są prawdziwe, a nie tylko uznawane za takie, nic nie znaczą. Każdy może przekreślić je stosownie do potrzeb. Prawdziwa prawda, jeśli taka w ogóle istniała, mogłaby być odnaleziona w osobowości człowieka, który te fakty wykreował, w wewnętrznych motywach, które skłoniły go, żeby postąpił tak, a nie inaczej. Powód, dla którego człowiek poszukuje, cel, który go skłania do podróży, znaczy dla mnie więcej, niż góry, na które się wspiął czy rzeki, którym nadał nazwy. Ale to rzadko znajdziesz w biografii”.

„Czy w twojej romantycznej opowieści jest więcej prawdy niż w moich nagich faktach? W końcu obie wersje są tylko wyborem możliwych materiałów”.

„Daj mi mój rodzaj prawdy, i możesz sobie zatrzymać swoją własną. Co widzi się w życiu, w końcu, jest prawdopodobnie nie tyle tym, co tam jest, ile tym, co się tam widzi. Biografia to tylko fikcja pod inną nazwą”.

Po zobaczeniu tych słów napisanych przez Heney, odczuwa się pokusę żeby zapytać czy wszystkie biografie, które napisano i opublikowano, są naprawdę fikcją? Czy fakty mają być wykrzywiane tak, żeby odpowiadały intencjom i zachciankom biografów? Z pewnością powinna być jakaś różnica między biografem, a powieściopisarzem.

Inspiracja australijskim buszem w kolażach Anny Fiali



Anna Fiala

Anna Fiala ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Łodzi. Najpierw zajmowała się tkactwem artystycznym, następnie przez wiele lat malowała olejami martwe natury,

pejzaże, ciekawe formacje chmur itp. Jednak prawdziwą pasję znalazła w fotografowaniu przyrody. Australijski busz dostarcza jej niekończących się inspiracji i emocji w odkrywaniu specyficznej atmosfery, nasyconej wielowiekowym istnieniem i zmianami tam zachodzącymi. Unikalne światło Australii odgrywa tu także swoją rolę - jest wielkim pomocnikiem artysty. Anna nie tylko fotografuje pejzaże leśne, ale ma szczególne oko do detali utrwalonych na korze starych drzew, w układzie światła, zależnym od sezonu, pogody lub pory dnia. Fotografuje leśne obrazy, które do niej przemawiają w szczególny i unikalny sposób. Pokazuje realistyczne obrazki australijskiej przyrody i ukrytą w nich abstrakcję.

Galeria









Gymkhana



Anna Habryn

Gymkhana w Payne's Find przyciągała w każdą Wielkanoc tłumy ludzi. Zawody i pokazy konne były największym wydarzeniem roku.

Oprócz pokazów i wyścigów codziennie smażyono setki steków na olbrzymich *barbecues*, a piwo lało się strumieniami. Przez cały weekend małe pub pękał w szwach, do baru trudno się było docisnąć, a szczęśliwcy, którzy zajęli barowe stołki opuszczali je tylko po to, żeby na chwilę wyskoczyć w wiadomej sprawie. Toalety były obleżone, ale krzaków dookoła zatłoczonego pola kempingowego nie brakowało. Busz zaczynał się za ostatnimi przyczepami, w których mieszkali przez dwie lub trzy noce farmerzy z całej okolicy.

Oczywiście, wszelkie możliwe organizacje korzystały z wielkiego zjazdu właścicieli i pracowników okolicznych *stations*, żeby organizować kiermasze i stoiska, w których sprzedawano domowego wyrobu arcydzieła tworzone w kuchniach i przydomowych warsztatach na cele dobroczynne.

Margaret była działaczką jednej z takich organizacji, toteż na *Gymkhana* bywała co roku obowiązkowo. W tym roku umówiliśmy się tam w drugi dzień świąt.

Od kilku tygodni krążyliśmy z Margaret po przecinających się orbitach i przyciąganie czuliśmy coraz mocniej, ale o spotkaniu na uboczu mogliśmy tylko marzyć. Mnie pilnowała wcale nie dyskretnie matka moich dzieci, jej pilnowała dorastająca córka, istotka sprytna i wszędobylska. Spotkanie w Payne's Find

podczas wielkanocnej imprezy było pomysłem - jak nam się zdawało - doskonałym. W tłumie można zniknąć z oczu rodzinie, co nie było w żaden sposób możliwe w malutkiej mieścinie, takiej jak Cue.

W świąteczny poniedziałek rano obaj z moim dobrym kumplem Rodem wybraliśmy się na imprezę. Trochę popatrzyliśmy sobie na *barrel racing*, czyli na panie wywijające na koniach esy floresy między trzema beczkami, a potem Roda pociągnęło w stronę pubu. Umówiłem się z nim na powrót do domu wieczorem - i powędrowałem szukać mojej przygody. Margaret znalazłem z pewnym trudem, bo stoisk sprzedających hot-dogi z cebulą i keczupem było kilka. Stałem w kolejce, kupiłem szaszłyk i dałem jej znak, że czekam. Pięć minut później znalazła mnie w tłumie i ostrożnie, bez ostentacji, powędrowaliśmy w busz.

Dzień był słoneczny i słońce prażyło. Margaret miała sukienkę w kwiaty i duży kapelusz. Wyglądała pięknie. Kiedy ten kapelusz zdjęła i zaczęła mnie całować, ziemia zakołysała mi się pod nogami. Rozejrzałem się, a że byliśmy sami, podniosłem moją kobietę i ułożyłem na rozgrzanym czerwonym piasku. Śmiała się gardłowym, lekko ochryplym śmiechem. Czułem jej ręce na moim karku, na moich plecach i pośladkach. Jej białe ciało pachniało tak, że oszalałem zupełnie. Zamknąłem oczy i przez jakiś czas zanurzałem się w tym zapachu, czując, jak pragnienie wzbiera i pęcznieje.

- Mamo!

- To było jak uderzenie bata po plecach. - Shit! - pomyślałem i zastygłem w bezruchu.

- Przestań! - To było do mnie. - Ja mam przestać? - Margaret gwałtownie wywinęła

się spode mnie i usiadła. – Shit, shit, shit. Cholerna córka. Znalazła nas, i to właśnie teraz. Niech to diabli.

Ale Margaret już stała na nogach i otrzepywała się z piasku. Potem bez słowa pociągnęła córkę za rękę i prawie biegiem ruszyła z powrotem w stronę ludzi. Pod krzakiem zostały majtki. Pewnie dla mnie na pamiątkę. Shit.

Doprowadziłem się do porządku i ruszyłem w stronę ludzi. Czułem się tak podle, że musiałem się napić.

Przed pubem cały placyk zastawiony był motocyklami. Demony, klub, a właściwie gang znany w okolicy. Czarne motocykle, czarne skóry, biżuteria z białego metalu wszędzie, gdzie się ją da umieścić. Ich dziewczyny miały twarze malowane na białą, a włosy na czerwono. Widocznie dopiero co przyjechali, bo zdejmowali kaski, ocierali pot i kurz z twarzy. Zaraz zajmą wszystkie stołki w barze, musiałem się śpieszyć.

W środku maleńkiego pomieszczenia były zaledwie trzy stoliki, zajęte, ale przy barze siedział mój kumpel Rod. Przecisnąłem się do niego i jakoś właśnie w tej chwili facet obok wstał i chwiejnie ruszył do wyjścia. Wskoczyłem na jego miejsce i poczułem się lepiej.

– Bitter – zażądałem i patrzyłem, jak bursztynowy napój pieni się w mokrej szklance. a piana spływa barmanowi po palcach.

– Cholerni *bikies* – powiedziałem do Roda. Byłem wściekły, ale nie mogłem Rodowi powiedzieć o swojej porażce w krzakach więc zacząłem się wyzywać na facetach w czarnych skórkach na motorach, co robią burdy. Łobuzy, zdemolowali niejednego roadhouse, jak mówią ludzie.

– „Maleńki” – powiedział Rod.

– No właśnie – przytaknąłem. – O nich mówię. „Maleńki” to było przezwisko przywódcy gangu. Chłop był podobno olbrzymi.

– Zamknij się – powiedział Rod.

– Boisz się ich? – zapytałem ze złością. Rod przez zaciśnięte zęby mruknął – za tobą.

Okręciłem się na stołku o sto osiemdziesiąt stopni - i nosem prawie otarłem się o wielką metalową klamrę z jakimiś dziwnymi ornamentami. Wyżej była skórzana kamizelka, niżej, no cóż, mogłem go pocałować w pępek. Facet był rzeczywiście dwumetrowy. W ułamku sekundy przemknęło mi przez myśl, że nie mam szans. Ale dzielnie spojrzałem w górę. Ponad siwiejącą brodą widziałem nos i oczy, które wpatrzone były w półki nad barem. Nad moją głową złożył zamówienie i odszedł z trzema piwami w olbrzymich łapach nie zatrzymawszy na mnie wzroku nawet przez sekundę. Jakby mnie w ogóle nie było.

Tego dnia upiłem się do nieprzytomności. Rod zaniósł mnie do samochodu na plecach, ale zanim dojechaliśmy do Cue, obudziłem się. Była noc, kiedy wysiadłem przed swoim domem. W żadnym oknie nie paliło się światło. Nie wszedłem do domu. Poszedłem do szopy, gdzie spokojnie przeżuwał siano mój koń. Miałem Bena. Miałem przyjaciela, który mnie kochał. I ja go kochałem.

Założyłem Benowi uzdę i wyprowadziłem go z szopy na ulicę. Miasteczko spało spokojnie. Klepnąłem konia po szyi. Ja wam pokażę, pomyślałem. Wdrapałem się na grzbiet i na oklep pogalopowałem główną ulicą wrzeszcząc na całe gardło:

- Yahoo! Yahoo! Yahoo!

A potem spadłem gdzieś w krzaki i przespałem do rana. Tak straciłem szansę na płomienny romans i męską walkę ze złem. Cholerna australijska prowincja!